

Wspomnienie o Bakuninie

Aleksander Hercen

W końcu listopada 1861 r. otrzymaliśmy od Bakunina list treści następującej:

"25/3 października 1861. S.-Francisco. Przyjaciele! Udała mi się zbiec z Syberii i po długiej wędrówce rzeką Amur, wzdłuż Cieśniny Tatarskiej i przez Japonię przybyć dziś do San Francisco. Przyjaciele, całym swym jestestwem wyrwam się do Was i jak tylko przyjadę, zabiorę się do roboty: będę pracował u Was dla sprawy polsko-słowiańskiej, która była moją idee fixe od 1846 r. i moją specjalnością praktyczną w latach 1848 i 1849. Zburzenie, doszczętne zburzenie cesarstwa austriackiego - to moje hasło ostateczne; nie mówię - czyn: byłoby to zbyt ambitne; by służyć temu hasłu, gotów jestem zostać doboszem albo nawet profosem; jeśli zdołam popchnąć je choć o włos, będę zadowolony. Za tym hasłem stoi sławna i wolna federacja słowiańska, jedyne wyjście dla Rosji, Ukrainy, Polski i wszystkich w ogóle narodów słowiańskich".

O jego zamierzonej ucieczce z Syberii wiedzieliśmy już przed kilku miesiącami. Około Nowego Roku trzymaliśmy już w swych objęciach Bakunina we własnej okazałej osobie.

Do naszej pracy, do naszego zamkniętego dwuprzymierza wkroczył nowy żywioł, a raczej żywioł stary - wskrzeszona mara lat czterdziestych, przede wszystkim roku 1848. Bakunin był ten sam: zestarzał się tylko na ciele, na duchu bowiem był tak samo młody i zapalny jak w Moskwie podczas całonocnych sporów z Chomiakowem; tak samo oddany jednej idei, tak samo skłonny do uniesień, gotów widzieć wszędzie urzeczywistnienie swych pragnień i ideałów - i bardziej jeszcze niż dawniej gotów do wszelkich prób i ofiar, czuł bowiem, że życia ma przed sobą niezbyt wiele, trzeba się więc śpieszyć i nie omijać żadnej sposobności. Ciężko mu długie analizowanie sprawy i ważenie wszelkich pro i contra; jak i niegdyś łatwowierny i oderwany od rzeczywistości, rwał się do czynu, byleby się ten czyn iścił wśród burz rewolucji, w grozie i spustoszeniach. Jak niegdyś w swych artykułach, podpisywanych pseudonimem Jules Elizar, tak i teraz powtarzał: "Die Lust der Zerstorung ist eine schaffende Lust" [Żądza zniszczenia jest żądzą twórczą]. Fantazje i ideały, z jakimi go zamknęto w 1849 r. w Konigsteinie, zachował w całości i - poprzez Japonię i Kalifornię - przywiózł je w 1861 r. nietknięte. Nawet styl jego przypominał najlepsze artykuły z "Reforme" i "Vrai Republique" ["Prawdziwa Republika"], gwałtowne mowy z czasów Constituante i klubu Blanqui. Ówczesny duch partyj, ich wyłączność, ich sympatie i antypatie osobiste, a głównie ich wiara w zbliżające się powtórne przyjście rewolucji - wszystko to Bakunin zachował.

Więzienie i zesłanie nadzwyczajnie konserwuje ludzi silnych - jeśli ich natychmiast nie zniszczy; wychodzą zeń jak po omdleniu, powracając do tej chwili, kiedy stracili przytomność. Dekabryści wrócili spod śniegów sybirskich młodszy niżli zdeptana na pniu młodzież, która ich powitała. Wówczas gdy dwa pokolenia Francuzów przemieniały się kilkakrotnie, czerwieniały i bladeły, wznoszone przypływem i unoszone z powrotem odpływem - Barbès i Blanqui pozostali tacy sami, niby niegasnące latarnie morskie, które spoza krat więziennych, z dalekiej obczyzny przywodziły na pamięć dawne ideały w całej ich nieskazitelnosci.

"Zagadnienie polsko-słowiańskie... zburzenie cesarstwa austriackiego... wolna i sławna federacja słowiańska ..."

I to wszystko natychmiast, za ledwie przyjeździe do Londynu... a pisze z San Francisco... jedną nogą na okręcie!

Reakcja europejska nie istniała dla Bakunina; nie istniały też ciężkie lata od 1848 do 1858; znane mu one były tylko pokrótce, z daleka, po łebkach. Przeczytał je na Syberii tak, jak czytał w podręczniku Kajdanowa historię wojen punickich i upadku cesarstwa rzymskiego. Jak człowiek, który wraca po okresie szalejącego moru, Bakunin dowiedział się, kto umarł, i westchnął za dusze wszystkich zmarłych, ale nie siedział przy łożu konających, nie miał nadziei na ich uratowanie, nie szedł za ich trumną. Bliskie natomiast sercu jego były wypadki roku 1848, ożywione i drobiazgowo rozmowy z Caussidiere'em, przemówienia Słowian na zjeździe praskim, spory z Arago z Ruge - wszystko to było dla Bakunina wczoraj, brzęczało mu w uszach, migало przed oczami, zresztą było to u niego naturalne, nawet niezależnie od wpływu więzienia.

Pierwsze dni po rewolucji lutowej były najpiękniejsze w życiu Bakunina. Po powrocie z Belgii, dokąd go wyforował Guizot za przemówienie na obchodzie polskiej rocznicy powstania w dniu 29 listopada 1847 r., Bakunin zanurzył się po uszy w morzu rewolucji. Nie wychodził z koszar montagnardów, nocował u nich, jadł z nimi i bez ustanku kaznodzieił i kaznodzieił: pawił o komunizmie i l'egalite du salaire [równości zarobków], o niwelacji w imię równości, o wyzwoleniu wszystkich Słowian, zniszczeniu wszystkich Austrii, o rewolucji en permanence [W nieskończoność], o wojnie aż do uśmiercenia ostatniego wroga. Prefekt od barykad, który robił "porządek z nieporządku" - Caussidiere - głowił się, jak tu wykurzyć kochanego kaznodzieję, i razem z Floconem wpadł na myśl, żeby go wyprawić rzeczywiście do Słowian z braterską accolade [Uścisk, pozdrowienie] - w przekonaniu, że Bakunin skręci tam sobie nareszcie kark i nie będzie bruździł.

Quel homme, quel homme [Co za człowiek! Co za człowiek!] - mówił Caussidiere o Bakuninie - pierwszego dnia rewolucji to po prostu skarb, ale na drugi dzień trzeba go rozstrzelać¹.

Kiedym przyjechał z Rzymu do Paryża z początkiem maja 1848 r., Bakunin wieścił już w Czechach w otoczeniu mnichów starowiernych, Czechów, Chorwatów, demokratów, i wieścił dopóty, dopóki książę Windischgratz za pomocą armat nie położył kresu jego krasomówstwu (i nie skorzystał z tej dogodnej sposobności, żeby nie postrzelić przy tym niechący swojej żony). Zniknąwszy z Pragi, Bakunin objawia się w Dreźnie jako komendant miasta; ten dawny oficer artylerii uczy rzemiosła wojennego profesorów, grajków i aptekarzy, którzy chwycili za broń - i radzi im, aby "Madonnę" Rafaela i obrazy Murilla wystawić na mury miasta i bronić się w ten sposób przed Prusakami, którzy są zu klassisch gebildet [Otrzymali za bardzo klasyczne wykształcenie], by się ośmielili strzelać do Rafaela.

Artyleria w ogóle była mu pomocna. W drodze z Paryża do Pragi natrafił gdzieś w Niemczech na rozruchy chłopskie: chłopci robili wrzask i harmider przed zamkiem, nie wiedząc, jak przystąpić do rzeczy. Bakunin wysiadł ze swego wózka i nie mając nawet czasu, by za-

¹ Powiedźcie Caussidiere'owi - mówiłem żartem do jego przyjaciół - że Bakunin tym właśnie różni się od niego, że również Caussidiere jest porządny człowiek, ale jego należałoby rozstrzelać w przeddzień rewolucji. Później, w Londynie w 1854 r., przypomniałem mu to. Prefekt na wygnaniu wałnął się olbrzymią pięścią w swą pierś wielkoluda z taką siłą, z jaką się wbija pale w ziemię, i powiedział: "Tutaj noszę Bakunina, tutaj!" A. H.

pytać, o co chodzi, uszykował chłopów i tak ich gracko nauczył, że gdy siadał znowu do wózka, by się udać w dalszą podróż, zamek płonął ze wszystkich czterech rogów.

Bakunin przełamie kiedykolwiek swoje lenistwo i dotrzyma obietnicy: spisze dzieje swego męczeństwa, które się zaczęło dla niego po zdobyciu Drezna. Przypomnę je tu w ogólnych zarysach. Bakunin był skazany na śmierć. Król saski zamienił mu topór na dożywotnie więzienie, po czym - bez żadnych podstaw - wydał go Austrii. Policja austriacka chciała wydobyć coś z niego o zamierzeniach słowiańskich. Osadzono Bakunina na Hradczynie i nic zeń nie wydobywszy, wysłano do Ołomuńca. Skutego wieziono pod mocną eskortą dragonów. Oficer, siadając z nim razem do wózka, nabił w jego oczach pistolet.

- Po cóż to? - zapytał Bakunin. - Czy myślicie, że mógłbym uciec w tych warunkach?

- Nie. Ale przyjaciele pańscy mogą pana odbić: rząd miał w tej mierze niejakię wiadomości, i w takim razie...

- No cóż?

- Kazano mi wpakować panu kulę w łeb.

I towarzystwo pocwałowało.

W Ołomuńcu Bakunina przykuto do muru i w takim stanie przebył pół roku. Wreszcie Austrii sprzykrzyło się darmo żywić cudzego przestępcę: zwróciła się do Rosji z propozycją wydania go. Mikołajowi I Bakunin wcale nie był potrzebny, ale nie przyjąć go nie miał siły. Na granicy rosyjskiej zdjęto z Bakunina kajdany. O tym akcie miłosierdzia słyszałem wiele razy; kajdany zdjęto rzeczywiście, ale ci, którzy to opowiadali, zapominali dodać, że okuto go w inne, znacznie cięższe. Oficer austriacki, który przekazywał więźnia, zażądał zwrotu kajdan jako rządowej k.-k. [Kaiserliche und königliche - cesarsko-królewska] własności.

Mikołaj pochwalił Bakunina za jego waleczność w Dreźnie i zamknął go w twierdzy Pietropawłowskiej, w osławionym rawelinie aleksiejewskim. Tu przysłał do niego Orłowa z poleceniem, że chce od Bakunina memoriału o ruchu słowiańskim i niemieckim (monarcha nie wiedział, że wszystkie szczegóły tego ruchu były ogłoszone w dziennikach). Memoriału tego żądał "nie jako cesarz, lecz jako spowiednik". Bakunin zapytał Orłowa, jak cesarz rozumie słowo "spowiednik": czy w tym mianowicie sensie, że wszystko, co się mówi spowiednikowi, winno pozostać świętą tajemnicą? Orłow nie wiedział, co odpowiedzieć: ci ludzie w ogóle przyzwyczajeni są raczej pytać niż odpowiadać. Bakunin napisał dziennikarski leading article [artykuł wstępny]. Mikołaj nawet z tego był zadowolony. "To mądry i dobry chłop, ale człowiek niebezpieczny: trzeba go trzymać w zamknięciu" - i przez całe trzy lata po tym monarszym uznaniu Bakunin był pogrzebany w twierdzy Pietropawłowskiej. Utrzymanie było tam snadź dobre, skoro nawet ten olbrzym tak opadł na siłach, że chciał sobie życie odebrać. W 1854 r. przeniesiono go do Szlisseburga. Mikołaj bał się, że może go uwolnić sir Charles Napier, ale sir Charles Napier et Co uwolnili nie Bakunina od twierdzy, lecz Rosję od Mikołaja. Aleksander II, mimo napadów łaskawości i wspaniałomyślności, przetrzymał Bakunina w twierdzy do 1857 r., po czym zesłał go na osiedlenie do Syberii Wschodniej. W Irkucku znalazł się Bakunin na swobodzie po dziewięcioletnim więzieniu. Wielkorządcą był tam, na jego szczęście, oryginał, demokratą i Tatar, liberał i despota, krewniak Michała Bakunina... i Michała Murawjewa, również Murawjew, wówczas jeszcze nie Amurski. Pozwolił on Bakuninowi odetchnąć, dał mu możliwość żyć po ludzku,

czytać pisma i dzienniki i sam marzył z nim razem o przyszłych przewrotach i wojnach. Przez wdzięczność Bakunin zamianował go w duszy wodzem naczelnym przyszłej armii ludowej, która miała być użyta na zniszczenie Austrii i założenie wspólnoty wszechsłowiańskiej.

W r. 1860 matka Bakunina prosiła cesarza o zezwolenie synowi na powrót do Rosji; cesarz odpowiedział, że "za jego życia Bakunin z Syberii nie powróci"; ale żeby staruszka zaznała pociechy i łaski cesarskiej, Aleksander II pozwolił mu wstąpić do służby rządowej w charakterze pisarka.

Wówczas Bakunin, wzięwszy pod rozwagę rumiane policzki i czterdzieści lat cesarza, postanowił zbiec; usprawiedliwiam go pod tym względem całkowicie. Ostatnie lata pokazują najlepiej, że nie miał na co czekać na Syberii. Dziewięciu lat więzienia i kilku lat zesłania było aż nadto dosyć. Nie z powodu jego ucieczki, jak mówiono, pogorszyło się zesłańcom politycznym, ale dlatego że czasy nastały gorsze, ludzie stali się gorsi. Jakiż wpływ mogła mieć ucieczka Bakunina na ohydne prześladowanie i dobranie Michajłowa? A że tam jakiś Korsakow otrzymał naganę, nie warto nawet o tym mówić: szkoda, że nie dwie.

Ucieczka Bakunina jest niezwykła ze względu na przestrzeń: jest to najdłuższa ucieczka w sensie geograficznym. Przedostawszy się nad Amur pod pozorem spraw handlowych, Bakunin namówił jakiegoś szypra amerykańskiego, żeby go wziął ze sobą do Japonii. W Hakodate inny kapitan amerykański zgodził się dowieźć go do San Francisco. Bakunin wsiadł na okręt w chwili, gdy kapitan krzątał się gorączkowo około obiadu: czekał właśnie na jakiegoś honorowego gościa i zaprosił Bakunina. Bakunin przyjął zaproszenie i dopiero gdy gość przybył, dowiedział się, że jest to rosyjski konsul generalny. Ukryć się już było za późno, niebezpiecznie i śmiesznie. Bakunin śmiało wszczął rozmowę, powiedział, że ma zezwolenie na wycieczkę. Niewielka eskadra rosyjska, o ile pamiętam - admirała Popowa, stała w porcie i miała wnet odpłynąć do Nikołajewska.

- Pewnie pan powraca z nimi? - zapytał konsul.

- Dopiero co przyjechałem - odrzekł Bakunin - i chciałbym jeszcze coś niecoś zwiedzić.

Po obiedzie rozstali się en bons amis [jak dobrzy przyjaciele]. Na drugi dzień Bakunin na statku amerykańskim przepłynął obok eskadry rosyjskiej; oprócz oceanu nie było już żadnego niebezpieczeństwa.

Zaledwie się Bakunin rozejrzał i zainstalował w Londynie, tj. pozawierał znajomości ze wszystkimi Polakami i Rosjanami, którzy tu byli, natychmiast zabrał się do rzeczy. Z namietnością kaznodziejstwa, agitacji, nawet może demagogii, z niewyczerpanym zapałem do knucia spisków, prowadzenia układów, zadzierzgiwania stosunków i nadawania im wielkiego znaczenia - łączy się teraz u Bakunina gotowość być pierwszym wykonawcą, gotowość na śmierć, odwaga poniesienia wszelkich następstw. Jest to natura bohatera, którą historia pozostawiła bez przydziału. Marnował on nieraz swe siły na głupstwa - jak lew marnuje swe kroki w klatce, wciąż myśląc, że wyjdzie z niej. Ale nigdy nie był retorem, który się lęka wprowadzenia w czyn słów swoich, albo się uchyla od urzeczywistnienia swych ogólnikowych teorii.

Miał dużo wad, ale te wady były drobne, zalety zaś - wielkie. Czy nie jest wielką już ta jedna rzecz, że rzucony gdziekolwiek bądź przez los i zaledwie zapoznawszy się z oto-

zeniem, umiał natychmiast wyłowić nurt rewolucyjny i prowadzić go dalej, rozdmuchać, czynić zeń palące zagadnienie życia?

Powiadają, jakoby Turgieniew chciał odmalować wizerunek Bakunina w postaci Rudina, jednakże Rudin zaledwie przypomina niektóre rysy Bakunina. Turgieniew, pociągnięty przykładem biblijnego Boga, stworzył Rudina na swój obraz i podobieństwo: Rudin - to Turgieniew numer drugi, który się nasłuchiwał żargonu filozoficznego młodego Bakunina.

W Londynie Bakunin, po pierwsze, zaczął rewolucjonizować "Koło" i zarzucać nam w 1862 r. prawie to samo, co zarzucał w 1847 r. Bielińskiemu. Mało było propagandy, potrzebne było niezwłoczne jej zastosowanie - zakładanie ośrodków i komitetów; mało było bliskich i dalszych ludzi: konieczni byli "wtajemniczeni i na pół wtajemniczeni bracia", organizacja w kraju - organizacja słowiańska, organizacja polska. Bakunin uważał, że jesteśmy umiarkowani, nie umiemy korzystać z bieżącej sytuacji, nie dosyć lubimy środki stanowcze. Zresztą nie tracił otuchy i wierzył, że wkrótce naprowadzi nas na drogę prawdy. W oczekiwaniu na nasze nawrócenie zebrał dokoła siebie całą gromadę Słowian. Byli tu Czesi, poczynając od literata Fricza, kończąc na muzyku nazwiskiem Naparstek; Serbowie, których tytułowano zwyczajnie od imienia ojców - Joanowiczem, Danielewiczem, Piotrowiczem; byli Włosi, pełniący obowiązki Słowian, ze swymi wiecznymi końcówkami na esco; Był Bułgar, lekarz armii tureckiej, i naturalnie Polacy wszystkich diecezji: napoleońskiej, miosławskiej, czartoryskiej - demokraci bez ideologii społecznej, lecz z oficerskim zacięciem, socjaliści, katolicy, anarchiści, arystokraci i zwyczajni sobie żołnierze, którzy się chcieli bić gdziekolwiek, w Ameryce Północnej czy Południowej, przede wszystkim zaś w Polsce.

Wypoczął z nimi Bakunin po dziewięcioletnim milczeniu i samotności. Dyskutował, wygłaszał, zarządzał, krzyczał, rozstrzygał, kierował, organizował, zachęcał - cały dzień, noc całą, całą dobę. W krótkich chwilach wolnych rzucał się do swego biurka, oczyszczał z popiołu kawałek blatu i zabierał się do pisania: pisał pięć, dziesięć, piętnaście listów, do Semipałatyńska i Aradu, do Belgradu i Konstantynopola, do Besarabii, Mołdawii i Białokrynicy. Wśród tego ciskał pióro i uczył moresu jakiegoś zacofanego Dalmatyńca i nie kończąc przemówienia chwycił znowu pióro i powracał do pisania; zresztą przychodziło mu to z łatwością, pisał bowiem i mówił o jednym i tym samym. Jego czynność i próżniactwo, apetyt i cała reszta, a więc wzrost olbrzymi i ustawiczne pocenie się - wszystko to było nie na miarę ludzką, podobnie jak on sam; sam zaś był wielkoludem o lwiej głowie, z potarganą grzywą.

Mając lat pięćdziesiąt, pozostał tym samym studentem-włóczęgą z moskiewskiej Marosiejki, tym samym bezdomnym cyganem z paryskiej Rue de Bourgogne; bez troski o dzień jutrzejszy, gardząc pieniędzmi, szastając nimi, gdy były, pożyczając od byle kogo, na lewo i na prawo, gdy ich zabrakło, z ową prostotą, z jaką dzieci biorą od rodziców - nie troszcząc się o zwrot długu, z tą samą prostotą, z jaką sam gotów był oddać każdemu ostatni grosz, zostawiając sobie tylko coś niecoś na papierosy i herbatę - takim pozostał Bakunin. Ten tryb życia bynajmniej mu nie ciążył; urodził się na wielkiego włóczęgę, wielkiego tułacza. Gdyby go ktoś przycisnął do muru zapytaniem, co myśli rzeczywiście o prawie własności,

mógłby dać taką odpowiedź, jaką Lalande dał Napoleonowi mówiąc o Bogu: "Najjaśniejszy panie, w swych zajęciach nie zetknąłem się z potrzebą takiego prawa".

Bakunin miał w sobie coś dziecięcego, dobrotliwego i bezpośredniego i to mu przydawało niezwykłego uroku, pociągało ku niemu słabych i silnych, odpychając jedynie kołtuńskich mieszczan².

Że Bakunin doszedł w ogóle do małżeństwa, mogę to wytłumaczyć tylko nudą syberyjską. W Londynie zachowywał święcie wszystkie obyczaje i zwyczaje ojczyzny, czyli życia studenckiego w Moskwie: stopy tytoniu leżały na stole na podobieństwo przygotowanego obroku, popiół od cygar zalegał pod papierami i obok nie dopitych szklanek herbaty... od rana unosiły się w pokoju kłęby dymu, puszczane przez cały chór palaczy, kurzących jak na wypródkę, śpiesząc się, dusząc, zaciągając - słowem tak, jak palą tylko Rosjanie i Słowianie. Niejednokrotnie rozkoszowałem się zdumieniem, połączonym z niejakim przestraszaniem i pomieszaniem, które się malowały na twarzy Grace, pokojówki gospodarzy, kiedy późną nocą przynosiła gorącą wodę i piątą cukiernicę cukru do tej gotowni wyzwolenia słowiańskiego.

Długo potem, po wyjeździe Bakunina z Londynu, opowiadano sobie przy ulicy Paddington Green nr 10 o jego trybie życia, obalającym wszystkie niewzruszone pojęcia mieszczaństwa angielskiego, wszystkie uznane przezeń religijne wymiary i formy. Zważcie przy tym że pokojówka i gospodyni Bakunina kochały go bez pamięci.

- Wczoraj - powiada do Bakunina ktoś z jego przyjaciół - przyjechał ten a ten z Rosji; najmilszy człowiek, był oficer...

- Słyszałem o nim; chwałą go bardzo.

- Czy można go przyprowadzić?

- Koniecznie! Ale co tam przyprowadzić. Gdzie on jest? Natychmiast!

- Zdaje się, że to troszkę konstytucjonalista...

- Być może. Ale... ale ja wiem, że to człowiek rycerski, odważny i szlachetny... Czy pewny?

- Szanują go bardzo w Orsett House.

- Chodźmy.

- Dokąd? Chciał przecie przyjść do pana. Takeśmy się umówili. Przyprowadzę go.

Bakunin zabiera się do pisania. Pisze coś, skreśla, przepisuje, adresuje do Jass, zalepia kopertę. W nerwowym oczekiwaniu zaczyna chodzić po pokoju krokiem, od którego cały dom nr 10 przy ulicy Paddington Green wraz z nim chwieje się w swych posadach.

Zjawia się oficer - skromnie i grzecznie. Bakunin le met a l'aise [usadza go wygodnie] przemawia jak kolega, jak młodzieniec, oczarowuje, gani za konstytucjonalizm i znienacka pyta:

- Z pewnością pan nie odmówi uczynić coś dla wspólnej sprawy?

- Bez wątpienia...

- Czy pan jest tu czymś związany?

² Kiedy, zacierzwiony w sporze, z wrzaskiem i trzaskiem obrzucał przeciwnika stekiem wymysłów, których by nie wybaczone nikomu - jemu wybaczała wszyscy, a ja pierwszy Martjanow mawiał w takich wypadkach: "Jak tu się na niego gniewać? Przecie to duże dziecko". A. H.

- Niczym. Zaledwie przyjechałem... jestem ...
- Czy może się pan udać jutro, pojutrze z tym listem do Jass?

Coś podobnego nie spotykało oficera ani w armii czynnej podczas wojny, ani w sztabie głównym w czasie pokoju. Jednakże, wdrożony do karnośći wojskowej, po chwili milczenia odpowiada niezbyt pewnym głosem:

- O tak...
- Spodziewałem się tego. List już gotów.
- Naturalnie... choćby zaraz... Tylko że... (oficer czuje się zawstydzony), że nie przewidywałem zupełnie tego wyjazdu.
- He? Pieniądzy pan nie ma? Trzeba tak mówić od razu. To nie ma znaczenia. Pożyczę dla pana od Hercena. Potem mu pan odda. Ileż tu trzeba... całego kramu jakieś 20 funtów. Zaraz do niego napiszę. A w Jassach pan otrzyma pieniądze. Stamtąd przedostanie się pan na Kaukaz. Bardzo potrzebujemy tam zaufanego człowieka...

Zdumiony i osłupiały oficer odchodzi ze swym towarzyszem, równie zdumionym i osłupiałym. Mała dziewczynka, którą Bakunin trzyma do wielkich posylek dyplomatycznych, w deszcz i pluchę pędzi do mnie z kartką. Mam dla niej zawsze pod ręką czekoladę en losange [w kostkach], żeby jej nieco osłodzić jej klimat i ojczyznę. Daję więc sporą garść i mówię:

- Proszę powiedzieć wysokiemu gentlemanowi, że rozmówię się z nim osobiście.
- Istotnie korespondencja staje się zbędna: na obiad, to jest za godzinę, przychodzi sam Bakunin.
- Po cóż te dwadzieścia funtów dla NN?
 - To nie dla niego, to dla sprawy. Ale ten NN, bracie, to nadzwyczajny człowiek.
 - Znam go od kilku lat. Bywał już przedtem w Londynie.
 - To taki szczęśliwy przypadek, że grzechem byłoby nie skorzystać z niego. Posyłam go do Jass, a potem żeby się rozejrzał po Kaukazie.
 - Do Jass? A stamtąd na Kaukaz?
 - Zaraz zaczniesz dowcipkować. Ale dowcip to żaden argument.
 - Ależ w Jassach nie masz żadnych interesów!
 - Skąd wiesz?
 - Stąd, że - po pierwsze, nikt nie ma żadnych interesów w Jassach, a po wtóre, gdybyś tam co miał, już od tygodnia kładłbyś mi to w uszy. Napatoczył ci się chłopak młody, nieśmiały, który chce złożyć dowody swego oddania. No, strzeliło ci do głowy, żeby go wysłać do Jass. On chce obejrzeć wystawę, a ty mu pokażesz Mołdawię i Wołoszczyznę. Powiedz sam, po co to?
 - Zbytek ciekawości. Nie prowadzisz ze mną tych spraw, więc jakież masz prawo pytać?
 - To prawda. Myślę nawet, że zachowasz to w tajemnicy przed wszystkimi... ale co się tyczy pieniędzy, nie zamierzam dawać na gońców do Jass i Bukaresztu.
 - Zwróci ci przecie. Pieniądze będzie miał.
 - Więc niech je zużyje w sposób rozsądniejszy. Dość, dość już tego... List prześlesz przez jakiegoś Petresco-Manon-Lesco, a teraz chodźmy jeść.

I Bakunin, śmiejąc się sam i kiwając głową, która przeważała nawet jego tułów, zabierał się pilnie i gorliwie do spożywania darów bożych, po czym, zwyczajem swoim, mówił: "teraz nadeszła chwila rozkoszy" - i zapalał papierosa.

Bakunin przyjmował każdego, zawsze, o każdej porze. Często - jak Eugeniusz Oniegin - spał jeszcze lub wylegiwał się w łóżku, skrzypiącym pod nim, a już paru braci Słowian z rozpaczliwym pośpiechem ćmiło papierosy w jego pokoju. Bakunin wstawał ociężale, zlewał się wodą i w tejże chwili zaczynał wykladać. Nigdy go goście nie nudzili, nie byli dlań dokuczliwi; umiał niezmordowanie mówić wciąż na świeżo z najbardziej mądrym i najbardziej głupim człowiekiem. Skutki tego nieprzebierania w ludziach bywały niekiedy arcyzabawne.

Bakunin wstawał późno; trudno było zresztą inaczej, skoro noc upływała na gawędach i piciu herbaty.

Razu jednego, około jedenastej, słyszy, że ktoś myszkuje po pokoju; łóżko jego stało w dużej alkowie, zaciągniętej kotarą.

- Kto tam? - woła budząc się.
- Rosjanin.
- Nazwisko.
- Ten a ten.
- Bardzo mi przyjemnie.
- Cóż tak późno wstajecie? A, niby demokrata.
- Milczenie... Słysząc plusk wody, całe kaskady.
- Michale Aleksandrowiczu!
- Co?
- Chciałem was zapytać: czy ślub braliście w cerkwi?
- W cerkwi.
- To niedobrze. Cóż za niekonsekwencja. Podobno i Turgieniew chce swoją córkę wydać za męża. Wy, starzy, powinniście nam świecić przykładem.
- Cóż za dyrdymałki pan pleciesz?
- Powiedzcie, czyście się ożenili z miłości?
- A wam co do tego?
- Gadano u nas, żeście się ożenili dla majątku³.
- Przyszliście mnie badać? Idźcie do diabła!
- Już się gniewacie. A przecie ja ze szczerego serca. Do widzenia! Wstąpię jednak którego dnia.
- Dobrze, dobrze! Tylko bądźcie mądrzejsi.

...Tymczasem zbierała się burza polska. Jesienią roku 1862 przybył do Londynu na kilka dni Potiebnia. Smutny, nieskazitelny, bezgranicznie oddany huraganowi, przyjechał żeby pomówić z nami w imieniu własnym i swych współtowarzyszów - i mimo to pójść własną drogą. Coraz częściej zjawiali się Polacy z kraju; przemawiali językiem wyraźnym i ostrym,

³ Bakunin nie wziął ani grosza posagu. A. H.

dążyli do wybuchu wprost i świadomie. W przerażeniu chodziło mi po głowie, że idą na niechybną zagładę.

- Śmiertelnie mi żał Potiebn i jego kolegów - mówiłem Bakuninowi - i tym bardziej żał, że wątpię, czy droga ich i Polaków jest wspólna.

- Wspólna, wspólna! - twierdził uparcie Bakunin. - Nie będziemy przecie wiecznie siedzieć z założonymi rękami i namyślać się. Historię trzeba brać tak, jak się da; w przeciwnym razie zawsze będziesz bez przydziału, to w tyle, to w przodzie.

Bakunin odmłodził: był w swym żywiole. Lubił nie tylko ryk powstania i zgiełk klubu, plac i barykady; lubił również i agitację przygotowawczą, ową podniecającą, a zarazem hamowaną atmosferę spiskowania, narad, nocy niespanych, rokowań, układów, sprostowań, szyfrów, atramentu sympatycznego i znaków umownych. Któż nie wie, że próby przedstawienia amatorskiego lub przygotowanie choinki stanowią najmiłszy i najprzyjemniejszy wstęp do widowiska? Ale choć Bakunin pochłonięty był przygotowaniami do choinki, ja gryzłem się w duszy, staczałem z nim bezustanne spory i mimo woli czyniłem nie to, co chciałem.

Tu muszę potrącić o pewną przykrą dla mnie sprawę. W jaki sposób, skąd mi się była wzięła owa ustępliwość przy jednoczesnym szemraniu, owa słabość przy buncie i sprzeciwie? Z jednej strony - pewność, że należy postępować tak właśnie; z drugiej - gotowość postąpić wręcz przeciwnie. Ta chwiejność, ta rozbieżność, dieses Zogernde [wahanie] wyrządziły mi w życiu mnóstwo szkody, nie pozostawiając nawet tej wątlej pociechy, jaką jest poczucie mimowolności błędu, jego nieświadomości; popełniałem omyłki a contre-coeur [wbrew chęci]; wszystkie ujemne strony miałem przed oczami. W jednym z rozdziałów poprzednich opisałem swój udział w wypadkach 13 czerwca 1849 r. Jest to właśnie typowe dla mnie. Ani przez chwilę nie wierzyłem w powodzenie 13 czerwca; widziałem bezsensowność ruchu i jego niemoc, obojętność ludu, zaciekłość reakcji, niski poziom rewolucjonistów; pisałem o tym... a przecież wyszedłem na plac, drwiąc z ludzi, którzy szli.

O ileż mniej nieszczęść i ciosów zaznałbym w życiu, gdyby mi starczyło siły we wszystkich ważnych wypadkach słuchać samego siebie. Wytykano mi, że mam charakter unoszący się łatwo... Owszem, dawałem się unosić, ale nie to jest najważniejsze. Unosząc się skutkiem swej wrażliwości, powściągałem się natychmiast: myśl, refleksja i spostrzegawczość prawie zawsze brały górę - w teorii, ale nie w praktyce, w tym właśnie tkwi sedno, dlaczego pozwalałam powodować sobą nolens-volens [Chcąc nie chcąc]... Przyczyną szybkiej ustępliwości bywał fałszywy wstyd, niekiedy - szlachetniejsze pobudki: miłość, przyjaźń, wyrozumiałość... Lecz dlaczego wszystko to odnosiło zwycięstwo nad logiką?...

...Po pogrzebie Worcella⁴, 5 lutego 1857 r., gdy się wszyscy uczestnicy rozeszli, ja zaś wróciłem do domu i siadłem zgębiony przy biurku, przyszło mi do głowy smutne pytanie: czy razem z tym sprawiedliwym nie pogrzebaliśmy, nie przysypaliśmy ziemią wszystkich naszych stosunków z emigracją polską?

⁴ Stanisław Worcell (1799 - 1857) - polski działacz socjalistyczny. Uczestnik powstania listopadowego; na emigracji jeden z założycieli Gromad Ludu Polskiego; zwolennik sojuszu z rosyjskimi rewolucjonistami. - Red.

Łagodna postać starca, stanowiąca pierwiastek pojednania w wybuchających bezustannie nieporozumieniach, zniknęła, nieporozumienia zaś zostały. Prywatnie, osobiście mogliśmy często lubić tego czy innego Polaka i zbliżyć się do nich, ogólnie jednak biorąc, niewiele było między nami jednomyślności w ujmowaniu rzeczy; toteż stosunki nasze były naprężone, rzetelnie nieszczerze: robiliśmy sobie nawzajem ustępstwa, innymi słowy - osłabialiśmy sami siebie, uszczuplając się wzajemnie w swych najlepszych bodaj siłach.

Dogadać się do jednakowego rozumienia rzeczy było niepodobieństwem. Wychodziliśmy z różnych stanowisk - i drogi nasze przecinały się tylko w punkcie wspólnej nienawiści do samowładztwa petersburskiego. Ideał Polaków był poza nimi: szli ku swej przeszłości, przemocą uciętej, i tylko stamtąd mogli odbywać dalej swą drogę. Oni mieli mnóstwo relikwii, my - puste kolebki. We wszystkich ich działaniach i w całej ich poezji jest tyleż rozpacz co wiary gorącej.

Oni dążą do wskrzeszenia zmarłych, my chcemy jak najprędzej pogrzebać swoich. Formy naszego myślenia i nadzieje nasze są inne; nasz duch narodowy, cały skład naszej umysłowości nie wykazuje żadnych podobieństw z nimi. Nasz związek z nimi wydawał się im ni to mezaliansem, ni to małżeństwem z rozsądku. Z naszej strony było więcej szczerości, ale nie więcej głębi; zdawaliśmy sobie sprawę ze swej winy pośredniej, kochaliśmy ich odwagę i szanowali ich nieugięty protest. Cóż oni mogli w nas kochać? Co szanować? Przełamywali siebie zbliżając się do nas; dla kilku Rosjan robili zaszczytny wyjątek.

W więziennych mrokach panowania mikołajowskiego, siedząc pod kluczem jako towarzysze więzienni, współczuliśmy sobie raczej, niż znaliśmy się nawzajem. Lecz gdy się okienko nieco uchyliło, odgadliśmy, że sprowadzono nas tu różnymi drogami i że się różną drogą rozejdziemy. Po wojnie krymskiej westchnęliśmy radośnie; ich nasza radość uraziła: zmiana klimatu w Rosji przypomniła im o ich stratach, nie o nadziejach. Myśmy się rwali naprzód, gotowi łamać wszystko; dla nas nowe czasy zaczynały się od wyniosłych żądań; dla nich - od nabożeństw i modłów żałobnych.

Ale rząd po raz drugi zspolił nas z nimi. Wobec strzałów do księży i dzieci, do krucyfiksów i kobiet, wobec strzałów do hymnów i modlitw umilkły wszystkie pytania, zatarły się wszystkie różnice... Ze łzami i szlochem napisałem wówczas szereg artykułów, które głęboko wzruszyły Polaków.

Stary Adam Czartoryski na łożu śmierci przysłał mi przez syna ciepłe słowo; w Paryżu delegacja polska złożyła mi adres dziękczynny, podpisany przez czterystu wygnańców polskich; podpisy nadsyłało zewsząd - nawet od polskich emigrantów z Algeru i Ameryki... Zdawało się, że w wielu kwestiach jesteśmy sobie bliscy - ale o krok głębiej - i waśń, zacięta waśń rzuciła się w oczy.

Pewnego dnia siedział u mnie Ksawery Branicki, Chojecki i ktoś jeszcze z Polaków; wszyscy trzej, będąc przejazdem w Londynie, odwiedzili mnie, żeby mi uściśnąć dłoń za artykuły. Rozmowa zeszła na zamach na Konstantego.

- Ten strzał - powiedziałem - straszenie wam zaszkodzi. Może rząd i poczyniłby niejakie ustępstwa, ale teraz nie pójdzie już na żadne i rozsroży się w dwójnasób.

- Ależ my tego właśnie chcemy! - zawołał gorąco Charles Edmond. - Dla nas nie ma nic gorszego nad ustępstwa. Chcemy zerwania i otwartej walki!

- Życzę wam z serca, żebyście nie żalowali tego.

Charles Edmond uśmiechnął się ironicznie i nikt już nie dorzucił ani słowa. Było to latem 1862 r. A w pół roku potem mówił to samo Padlewski, udając się przez Petersburg do Polski. Kości były rzucone!...

Bakunin wierzył w możliwość powstania wojskowych i chłopów w Rosji; wierzyliśmy w to poniekąd i my - ba, wierzył nawet sam rząd, jak następnie świadczył o tym szereg zarządzeń, szereg zamówionych przez rząd artykułów i z rozkazu rządowego wykonanych straceń. Napięcie i ferment umysłów w Rosji były niezaprzeczane, i nikt nie przewidywał wówczas, że ten ferment zostanie zwekslowany na zaciekły patriotyzm.

Bakunin, nie zastanawiając się zbyt, nie biorąc pod rozwagę wszystkich okoliczności, zapatrzonego był w jeden odległy cel i... drugi miesiąc ciąży poczytał za dziewiąty. Pociągał, ludzi nie argumentami, lecz pragnieniami. Chciał wierzyć i wierzył, że Żmudź i Wołga, Don i Ukraina, gdy usłyszą o Warszawie, powstaną jak jeden mąż; wierzył, że starowiec rosyjski skorzysta z ruchu katolickiego, by zalegalizować swoje kacerstwo.

Co do tego, że wśród oficerów oddziałów wojskowych, stacjonujących w Polsce i Litwie, stowarzyszenie, do którego należał Potiebnia, rosło i potęgniało - co do tego nie mogło być wątpliwości, ale stowarzyszenie to zgoła nie miało tej siły, jaką mu z rozmysłem przypisywali Polacy i naiwnie Bakunin.

Jakoś w końcu września przyszedł do mnie Bakunin szczególnie zatroskany i nieco uroczysty.

- Warszawski Komitet Centralny - powiedział - przysłał dwóch swoich członków na rozmowę z nami. Jednego znasz: to Padlewski; drugi - Giller, bojownik zahartowany: w kajdanach przespacerował się z Polski na Sybir i zaledwie powrócił, zabrał się znowu do roboty. Dziś wieczorem przyprowadzę ich do ciebie, a jutro zejdziemy się u mnie; należy ostatecznie określić nasze stosunki.

W tym czasie w drukarni składana była moja odpowiedź oficerom⁵.

- Program mój jest gotów: przeczytam im swoją odezwę.

- Zgadza się z nią, wiesz o tym. Nie jestem jednak pewien, czy im wszystko się spodoba. W każdym razie sądzę, że tego im będzie za mało.

Wieczorem przyszedł Bakunin z trzema gośćmi zamiast dwóch. Odczytałem swoją odezwę. W toku rozprawy i czytania Bakunin zachowywał się niespokojnie - jak to bywa z krewniakami podczas egzaminu ich pupila albo z adwokatami, którzy drżą, żeby ich klient z czymś się nie wygadał i nie zepsuł całej gry obrony, kunsztownie opracowanej, wiodącej, jeśli nie ku całkowitej prawdzie, to przynajmniej do pomyślnego zakończenia.

Widziałem z ich twarzy, że Bakunin przewidywał słusznie: odezwa moja niezbyt im przypadła do serca.

- Przede wszystkim - zauważył Giller - odczytamy pismo Komitetu Centralnego do pań.

⁵ "Koło koła", 1862, nr 147, "Do oficerów rosyjskich w Polsce". A. H.

Czytał Milowicz. Dokument ten, znany czytelnikom "Kołokoła", napisany był po rosyjsku językiem niezbyt poprawnym, ale jasnym. Mówiono, że przetłumaczyłem go z francuskiego i przeinaczyłem. To nieprawda. Zresztą wszyscy trzej mówili dobrze po rosyjsku.

Sens aktu polegał na tym, żeby za naszym pośrednictwem powiedzieć Rosjanom, że powstający polski Rząd Narodowy jest w zgodzie z nami i za podstawę swej działalności bierze: "uznanie prawa włościan do ziemi przez nich uprawianej oraz pełne prawo każdego narodu do rozporządzania swym losem". To oświadczenie, zdaniem Milowicza, zobowiązywało mnie do złagodzenia pytającej i "wątpiącej" formy mej odezwy. Przystałem na niej jakie poprawki i zaproponowałem im ze swej strony, ażeby mocniej została wycieniowana i przejrzyściej wypowiedziana myśl o samookreśleniu się prowincyj. Zgodzili się. Ten spór o słowa dowodził, że nasz stosunek uczuciowy do tych samych zagadnień nie był jednakowy.

Nazajutrz Bakunin siedział u mnie już z rana. Był niezadowolony ze mnie, uważał, że jestem nadto oziębły, jak gdyby nieufny.

- Czegoż więcej chcesz? Polacy nigdy nie czynili takich ustępstw.

- Oni się posługują innymi wyrazami, przyjętymi przez nich jak katechizm. Gdy sami wznoszą sztandar narodowy, nie wolno im przecie przy pierwszym kroku dotknąć drażliwych uczuć narodowych. Ale mnie się coś widzi, że w gruncie rzeczy mniej ich obchodzi ziemia chłopska, a znacznie więcej prowincje.

- Miły przyjacielu, będziesz miał w ręku dokument, poprawiony przez ciebie, podpisany w obecności nas wszystkich. Czegoż ci jeszcze trzeba?

- Przecież coś trzeba.

- Jakże ci trudno zdobyć się na jakiś krok! Wcale nie jesteś człowiekiem praktycznym.

- Już przed tobą mówił mi to Sazonow.

Bakunin machnął ręką i poszedł do pokoju Ogariewa. Ze smutkiem spojrzałem za nim: zrozumiałem, że znowu popadł w swój okres upijania się rewolucją i że się z nim teraz nie można dogadać. Szedł w butach siedmiomilowych przez góry i morza, przez lata i pokolenia. Za powstaniem warszawskim widział już swoją "sławną i słowiańską" federację, o której Polacy mówili ni to z przerażeniem, ni to z odrazą... widział już czerwoną chorągiew "Ziemli i Woli", powiewającą na Uralu i Wołdze, na Ukrainie i Kaukazie, a może i na Pałacu Zimowym i twierdzy Pietropawłowskiej - i kwapił się, by wygładzić jakkolwiek bądź trudności, zatuszować sprzeczności, wąwozów nie zasypać, lecz przerzucić przez nie most diabelski.

- Jesteś niczym dyplomata na kongresie wiedeńskim - powtarzał mi z urazą, gdyśmy potem prowadzili u niego układy z przedstawicielami Rządu Narodowego. - Chwytasz za słówka, czepiasz się frazesów. To nie artykuł dziennikarski, nie literatura.

- Co do mnie - zauważył Giller - nie będę się spierał o słowa: proszę zmieniać, jak panowie chcecie, byleby treść zasadnicza pozostała ta sama.

- Brawo, Giller! - wykrzyknął radośnie Bakunin.

- No - pomyślałem - ten przyjechał kuty na wszystkie cztery nogi; nic nie ustąpi, gdy dojdzie do rzeczy, dlatego jest tak bardzo ustępliwy w słowach.

Akt poprawiono, członkowie rządu podpisali się; posłałem go do drukarni.

Giller i jego towarzysze byli przekonani, żeśmy reprezentowali ośrodek zagraniczny całej organizacji, zależnej od nas, która na nasz rozkaz przystąpi do nich albo nie. Im rzeczywiście chodziło nie o słowa, nie o zgodę teoretyczną; swoją profession de foi [wyznanie wiary] mogli zawsze wyklądać i cieniować tak, że jej żywe barwy blakłyby, zmieniały się lub znikały.

Że w Rosji powstawały pierwsze komórki organizacji, co do tego nie było wątpliwości: pierwsze włókienka i pasemka można już było dostrzec gołym okiem; z tych nitek i supełków mogła się wytworzyć z czasem i w spokoju tkanina - wszystko to prawda; na razie jednak nie było jej... natomiast jeden mocniejszy cios mógł rozedrzeć początkową osnowę pajęczyny i groził zniweczeniem pracy na całe pokolenie.

Oddając do druku odezwę Komitetu Centralnego, powiedziałem właśnie o powyższym Gillerowi i jego towarzyszom, tłumacząc im niewczesność polskiego powstania. Padlewski nazbyt dobrze znał Petersburg, żeby się dziwić moim słowom, aczkolwiek zapewniał mnie, że siła i rozgałęzienia stowarzyszenia "Ziemli i Woli" sięgają znacznie dalej, niż przypuszczamy. Co do Gillera - ten się zastanowił.

- Myśleliście - powiedziałem mu z uśmiechem - żeśmy silniejsi... Nie omylił się pan: siłę mamy wielką i czynną, ale cała ta siła opiera się na opinii publicznej, to znaczy, że może się w każdej chwili ulotnić; silni jesteśmy dzięki sympatiom, jakie do nas żywią, przez unisono ze swoimi. Organizacji, której moglibyśmy powiedzieć: "idź na prawo lub na lewo" - nie ma.

- Prawda, drogi przyjacielu... jednakże - zaczął Bakunin chodząc nerwowo po pokoju ...

- A więc jest? - zapytałem go i urwałem.

- No, to zależy od tego, jak to nazwać... Naturalnie, jeśli się weźmie pod uwagę kształt zewnętrzny... nie jest to zgoła w charakterze rosyjskim... Zważ jednak...

- Pozwólże mi skończyć. Chcę wyjaśnić Gillerowi, dlaczego tak się upierałem przy słowach. Jeśli w Rosji na waszym sztandarze nie zobaczą: nadania ziemi i samookreślenia prowincyj, to nasza sympatia nie będzie wam w niczym pożyteczna, nas zaś zgubi, ponieważ siła nasza zasadza się na jednakowym biciu serca; być może, serce nasze tu bije nieco mocniej skutkiem tego o sekundę prędzej niż tam serca przyjaciół naszych; ale ich wiąże z nami sympatia, nie służba!

- Będziecie z nas zadowoleni - mówili Giller i Padlewski.

Następnego dnia dwóch z nich udało się do Warszawy, trzeci odjechał do Paryża.

Zaległa cisza przed burzą - okres nużący, ciężki, kiedy się wciąż wydawało, że chmura przeminie, gdy ona właśnie nadciągała; wyszedł ukaz o "ukartowanej" brance: była to ostatnia kropla; ludzie, którzy się jeszcze powstrzymywali od kroku ostatecznego i bezpowrotnego, rwali się do walki. Teraz nawet biali zaczęli przechodzić na stronę ruchu.

Przyjechał znowu Padlewski. Czekano parę dni. Branka nie została odwołana. Padlewski wrócił do Polski. Bakunin wybierał się do Sztokholmu, zupełnie niezależnie od wyprawy Łapińskiego, o której nikt jeszcze wówczas nie myślał. Przelotnie zjawił się Potiebnia i zniknął w ślad za Bakuninem.

W tym samym czasie co Potiebnia przyjechał przez Warszawę z Petersburga pełnomocnik "Ziemli i Woli". Mówił z oburzeniem o tym, że Polacy, którzy go zaprosili do Warszawy, nic nie zrobili. Był pierwszym Rosjaninem, który oglądał wybuch powstania. Mówił o za-

bójstwach żołnierzy, o rannym oficerze, który był członkiem stowarzyszenia. Żołnierze myśleli, że to zdrada, i zaczęli zażarcie bić Polaków. Padlewski, naczelnik ruchu w Kownie, wyrwał sobie włosy, ale bał się wystąpić jawnie przeciw swoim.

Pełnomocnik był bardzo dumny z doniosłości swej misji i zaproponował nam, żebyśmy zostali agentami stowarzyszenia "Ziemia i Wola". Odrzuciłem to, ku wielkiemu zdumieniu nie tylko Bakunina, ale i Ogariewa. Oświadczyłem, że nie podoba mi się ta wyświechtana nazwa francuska. Pełnomocnik traktował nas tak, jak komisarze Konwentu 1793 r. traktowali generałów w odległych armiach. To mi się również nie podobało.

- A czy was dużo? - zapytałem.

- To trudno określić... kilkuset ludzi w Petersburgu i ze trzy tysiące na prowincji.

- Wierzysz temu? - zapytałem po jego wyjściu Ogariewa.

Milczał.

- A ty? - zwróciłem się do Bakunina.

- Oczywiście, przesadził. Ale jeżeli teraz tylu nie ma, to będą potem! - I wybuchnął śmiechem.

- To co innego.

- Na tym właśnie rzecz polega, żeby podtrzymać wątle poczynania. Gdyby byli silni, nie potrzebowaliby nas - zauważył Ogariew, zawsze w takich razach niezadowolony z mego sceptycyzmu.

- Więc powinni byli tak właśnie stanąć przed nami - jako szczerze słabi, pragnący przyjaznej pomocy, ale me proponować jakiejś głupiej agentury.

- To młodość! - mruknął Bakunin i pojechał do Szwecji.

Po Bakuninie wyjechał Potiebnia. Przybity i zboląły pożegnałem się z nim; nie wątpiłem ani przez chwilę, że idzie na zgubę.

...Na kilka dni przed wyjazdem Bakunina przyszedł Martjanow, bledszy i smutniejszy niż zazwyczaj; usiadł w kącie i milczał. Dręczyła go tęsknota do kraju i nosił się z myślą powrotu. Dyskutowaliśmy o powstaniu Martjanow słuchał w milczeniu, po czym wstał zabierając się do odejścia. Nagle zatrzymał się przede mną i rzekł ponuro:

- Nie gniewajcie się na mnie, Aleksandrze Iwanowiczu: tak czy inaczej - zaprzepaściliście "Kołokoł". Po co się wam wtrącać do spraw polskich? Może Polacy i mają rację, ale ich sprawa szlachecka, nie wasza. Nie chcieliście się nad nami zlitować, Aleksandrze Iwanowiczu. Bóg z wami! Ale zapamiętajcie sobie moje słowa. Ja tego nie zobaczę: wracam do kraju. Tu nie mam nic do roboty.

- Ani wy nie wróćcie do Rosji, ani "Kołokoł" nie zginie - odpowiedziałem mu.

Odszedł w milczeniu, zostawiając mnie pod przygnębiającym wrażeniem swego drugiego proroctwa i w niejasnym przeczuciu, że popełniło się jakiś błąd.

Postąpił, jak powiedział: na wiosnę 1863 r. powrócił do Rosji i poszedł umierać na katorgę, zesłany przez swego "cara ludowego", za wiarę w niego, za miłość do Rosji.

Z końcem 1863 r. nakład "Kołokoła" z 2 500, 2 000 spadł do 500 egzemplarzy i nigdy się już nie podniósł powyżej tysiąca.

Moja Charlotte Corday z Orła i chłopski Daniells mieli słuszność!

(Pisałem w końcu roku 1865 w Montreux i Lozannie).

Anarcho-Biblioteka
Dobry pieróg to wywrotowy pieróg



Aleksander Hercen
Wspomnienie o Bakuninie

bakunin.pl

Fragment pochodzi z kroniki Aleksandra Hercena "Rzeczy minione i rozmyślenia",
pisanej w latach 1852-1868, Warszawa 1954 r. t.V str. 165 - 188. Publikacja elektroniczna
Anarchistyczne Archiwa 2012.

pl.anarchistlibraries.net